Dodatek do Nr. 34 „Prawdy".

RODZINA
PISMO
POŚWIĘCONE WYCHOWANIU
I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 17. Sobota, dnia 22-go Sierpnia. Rok 1908

A. GENNEVRAYE.

ULICZNIK.

POWIEŚĆ Z FRANCUSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

I wykrzywił twarz okopconą dymem, by łzy powstrzymać, świecące mu w oczach. Słuchacze w milczeniu pospuszczali głowy.

— Do widzenia, towarzysze, muszę śpieszyć. Zobaczymy się niezadługo, nie należy tracić odwagi.

A spostrzegłszy bladą, młodzieńczą twarz Izydora, dodał:

— Nie lękaj się, chłopcze, nic to nie znaczy.

— Niech żyje Francya! — krzyknął, oddalając się, i znikł w ciemnościach nocy.

Smutna była ta noc!

— To przypadek — powtarzali starzy. — Daliśmy się podejść. U nas tak zawsze, a mało jesteśmy ostrożni.

— Dajcie pokój — zauważył inny, zły, że go ominęły spodziewane galony. — To wina oficerów, którzy zawsze szukają awansów i odznaczeń kosztem żołnierzy.

— Cicho bądź — zawołał Boussard, który nadszedł właśnie. — Znałem generała Duc i wiem, co to był za człowiek. Nieszczęśliwy, dał się zabić, aby nie patrzeć na klęskę!

— Tak, ale...

— Cicho bądź, mówię, albo choć się brzydzę tem rzemiosłem, oskarżę cię przed pułkownikiem.

Izydor słuchał. Jakże dalekie były jego marzenia od smutnej rzeczywistości! Przyszedł mu na myśl Gaveau, z zapałem odczytujący sprawozdania dzienników.

Co pomyśli, skoro się dowie, żejesteśmy pobici? Gotów sądzić, że i mnie opuściła odwaga, że byłem jednym z pierwszych do ucieczki!

I biedny chłopiec na samą myśl o tem uczuł rumieniec na twarzy.

Nazajutrz udano się w drogę. Niestety, był to odwrót. Należało powtórnie przejść przez Laubach. Wieśniacy, stojąc przed domami, patrzeli na to w milczeniu. Zamiast wesołych okrzyków i serdecznych życzeń, jakiemi żegnano przed dwoma dniami żuawów, dzisiaj spotykały ich twarze posępne i pełne wyczekiwania.

Wieczorem pułk rozłożył się na wschód od Fröschwiller. Izydor chciał napisać do swego starego przyjaciela, lecz czem i jak? Ani pióra, ani papieru. Biedny chłopiec był tak zmęczony, że nie miał nawet chęci do jedzenia. Pogrążony w myślach, siedział przed drewnianą miską, oparłszy łyżkę na kolanach.

— Cóż jeleniu — rzekł stary Bussard, który szczerze polubił chłopca. — Nie jesteś głodny?

— Nie, sierżancie.

— A jednak trzeba, żebyś jadł, mój mały. Pełny żołądek to grunt. Głodnemu i nogi nie służą. Żołnierz powinien mieć odwagę śmiało patrzeć w oczy nawet nieszczęściu.

I chrząknąwszy znacząco, Bussard odwrócił głowę i oddalił się w milczeniu.

Izydor chciał się przymusić i sięgnął do miski, ale natychmiast odsunął ją ze wstrętem.

6-go sierpnia słońce wzeszło pogodnie i ożywiło swoim uśmiechem naturę. Z łąk płynął zapach siana, zieloność drzew jaśniała w kropiach porannej rosy, każde źdźbło trawy świeciło brylantem. Izydor, siedząc pod namiotem, rozglądał się dokoła: świat wydał mu się piękny, kosy i wilgi świstały, wesoło, przerywając kiedy niekiedy uroczystą ciszę poranku.

Powoli w obozie ruch budzić się zaczynał, czyszczono broń i ubranie, każdy śpieszył do swoich zajęć, rozpalono ognie, przyniesiono wody ze strumienia.

Izydor zadawał sobie pytanie: czy to już koniec kampanii, i czy nie nadejdzie rozkaz, wzywający ich do Paryża? Co powie Gaveau, dowiedziawszy się, że pułk jego nie był ani razu w ogniu, a wychowaniec nie dał żadnego dowodu odwagi?

O siódmej dał się słyszeć głuchy huk. Czy to burza? Nie, to armaty. Izydor słyszał je już pod Wissemburgiem. Żuawi zerwali się na nogi.

— To na prawo — rzekł sierżant, którego otoczyli żołnierze — i wskazał palcem w kierunku pobliskiej wioski.

Rzucono się do broni. Pułkownik wydał rozkaz pozostawienia tornistrów w obozie, a sam stanął w pośrodku szeregów.

— Biją się w kierunku Wörth — rzekł. — Moje dzieci, wiecie, czego się po was spodziewam!

— Wiemy, wiemy! — krzyknęli żuawi.

I w milczeniu pomaszerowali za wodzem.

Pole bitwy znajdowało się bliżej, niż sądzono z początku. Należało przejść mały lasek, zasłaniający im nieprzyjaciela, zaledwie jednak żuawi weszli pomiędzy drzewa, rozległo się kilka strzałów i trzech ludzi upadło na ziemię; jeden z nich tuż obok Izydora.

Chłopak zbladł. Ranny miał kulę w głowie i leżał nawznak z rozkrzyżowanemi rękoma,

— Czyżbym się lękał? — przeszło mu szybko przez głowę.

— Pierwszy batalion na prawo! — zakomenderował pułkownik.

Ruch wykonano natychmiast. Pierwszy batalion rozsypał się w tryaliery i wkroczył do lasku, zajętego przez Prusaków.

— Śmiało rekrucie — rzekł Bussard, przechodząc koło Izydora. — Pilnuj się mnie i nie trać odwagi.

Rozległy się strzały. Izydor zmrużył oczy i machinalnie pociągnął za cyngiel. Pierwsze kule, świszczące pomiędzy drzewami, zrobiły na nim wrażenie, lecz widząc zbliżające się kaski Prusaków i padających towarzyszów, zapłonął pragnieniem zemsty. Jakiś olbrzymi Niemiec mierzy lepiej od innych: dwóch żuawów padło obok z jego ręki. Uniesiony zapałem wysuwa się z poza drzewa. Izydor korzysta z tego i celnym strzałem kładzie go trupem na miejscu.

— Zabiłem go! — woła radośnne.

— To dobrze, chłopcze. Teraz bierz na cel drugiego — odpowiada Bussard spokojnie.

Huk strzałów, zapach prochu, dym i wrzawa, napełniająca powietrze, roznamiętniają Izydora. Bussard już po raz drugi woła na niego:

— Stać! Nie wysuwaj się! Po co karku darmo nadstawiać!

On sam, stary doświadczony wiarus, wart był widzenia w tej chwili. Posuwał się naprzód spokojnie, mierzył z krwią zimną, oglądając się na swoich ludzi, nie tracąc z oczu oficera.... Oczekiwał ataku na bagnęty.

— Zaprzestać ognia! Naprzód! Marsz! — słychać słowa komendy.

Żołnierze z bagnetem w ręku rzucają się na nieprzyjaciela; lecz ten nie czeka straszliwego natarcia i zostawiwszy kilkadziesiąt trupów, śpiesznie opuszcza pozycye.

Izydor jeden z pierwszych stanął na skraju lasu, gdzie się ukrywała zasadzka.

— To mój Prusak! — woła, wskazując zabitego Niemca.

Był to młody mężczyzna, lat dwudziestu kilku, o twarzy białej, mało opalonej i dużych jasno blond wąsach, okalających wpółotwarte usta. Mundur miał rozpięty, widocznie z powodu gorąca, a na szyi widać było czarną wązką plecionkę.

— Co on tam ma? — rzekł jeden z żuawów, przyglądając się uważnie.

Izydor nie śmiał dotknąć trupa, lecz jego towarzysz, mniej wrażliwy i skrupulatny, pociągnął sznurek i wyjął srebrny medalik z Matką Boską, zupełnie podobny do tego, jaki Gaveau przy rozstaniu ofiarował wychowańcowi.

Izydor zadrżał na ten widok. Pożegnanie z sierżantem, łzy Meli, stanęły mu żywo w pamięci. Przestał widzieć wroga w człowieku, którego zabił przed chwilą bez litości i wahania: może to matka zawiesiła mu na piersiach ten święty talizman, może narzeczona... Odjechał pełen wiary, że powróci, tymczasem...

— Patrzaj-że, mały — zawołał Bussaad, nasłuchając. — Zdaje się, że tym razem myśmy im dali nauczkę. Bitwa widocznie skończona.

Rzeczywiście strzały umilkły. Francuzi zostali panami pozycyi! Kazano złożyć broń w kozły.

— Więc to była bitwa? — spytał Izydor z niedowierzaniem; — nie sądziłem, że można zwyciężyć tak łatwo.

— To tylko mała potyczka; bitwa co innego.

Jeden ze starych żuawów, z siwiejącą brodą, stał zamyślony, rozglądając się dokoła.

— Co to znaczy, że Prusacy ustąpili, tak nagle — rzekł potrząsając głową. — To mi się wydaje podejrzeniem.

Wstał i poszedł się przekonać, czy broń dobrze ustawiono... Po godzinie podszedł znów do gromadki, w której się znajdował Izydor.

— A co? czy nie mówiłem? Znowu się zaczyna.

— Daj-no pokój, stary — odparł jeden z żuawów — słońce pali jak ogniem, Prusacy odpoczywają...

— Ale! do milion dyabłów! czyście głusi?... Słyszę przecież strzały!

Żołnierze stanęli w szeregach.

— Do broni! — zabrzmiała komenda.

Nieprzyjaciel atakował poblizką wioskę. Minęła godzina w oczekiwaniu. Pułkownik nie miał rozkazów. Oczekiwał na nie niecierpliwie, przechadzając się tam i napowrót, i zwracając co chwilę lunetę na punkt, w którym wrzała bitwa.

Dym osłaniał wszystko nieprzejrzanym obłokiem, lecz sądząc po ilości strzałów armatnich, po ruchach kawaleryi, przebijającej się niekiedy przez kłęby dymu, i upartych atakach kolumn nieprzyjacielskich, można było wnosić, że rozprawa była gorącą.

— Do krocset! — zawołał jeden z młodszych kapitanów — czyż będziemy tu stali do jutra, kiedy tamci się biją?

— Chcesz pan, aby nas nie znaleziono na miejscu, w chwili, gdy przyjdą rozkazy? — odparł inny oficer.

Lecz bezczynność wydawała się długą i ciążyła wszystkim.

— A przecież nie zabraknie wreszcie tych Prusaków! — zawołał Bussard, tupiąc z niecierpliwości nogami. — Skądże u licha się biorą? Nasi biedni liniowcy nie dotrzymają im placu! I pomyśleć, że my stoimy tu z bronią do nogi? Ach, do miliona dyabłów?

Pułkownik wszedł na pagórek, skąd dalej można było widzieć, i nagle rozpaczliwym ruchem podniósł obie ręce do głowy.

— Co się dzieje, pułkowniku? — zapytał jeden z adjutantów, schylając się po upuszczoną lunetę.

— Tam, na prawem skrzydle! Otaczają ich! Patrz pan! To kropla w morzu! Przetną im odwrót i wytną do nogi! Ha!...

Oficerowie w milczeniu skupili się koło wodza, głęboki smutek i powaga malowały się na ich twarzach. Luneta przechodziła z rąk do rąk.

Zwycięstwo było niemożliwem, śmierć tylko pozostała walecznym!

A o ni patrzeli na to!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Miłość bliźniego w wychowaniu.

Samolubstwo w zastraszający sposób wyciska piętno swoje na wszystkich, nawet szlachetniejszych objawach życia, a ścierając z nich blask chrześciańskiej miłości, cofa ludzkość naszych czasów do owej smutnej i ciemnej epoki, w której nie był się jeszcze narodził Zbawiciel.

Chociaż samolubstwo dzisiejsze przybiera formy bezinteresowności i w pozory miłości bliźniego się stroi, rozpoznać je łatwo, gdyż hasłem jego jest: wszystko sobie, dla siebie, a dla innych o tyle, o ile nam z tem wygodnie. Przyczyną tego smutnego objawu jest przewrotne wychowanie, lub brak jego zupełny u dzieci i od nich też rozpocząć się powinna poprawa, jeśli innem ma być pokolenie następne. W rodzinach naszych zamożniejszych, gdzie troska o byt nie pochłania każdej chwili życia, dziecię już od kołyski staje się celem wszystkich zabiegów; czuje ono to i rozumie samo prędzej, niż mówić zaczyna i wcześnie „praw" swoich uporem i krzykiem dopominieć się umie.

„Chcę, aby dziecku mojemu lepiej niż mnie działo się na świecie, nacierpi się potem dosyć, niechaj teraz ma to, co miłem mu być może", mówią niektórzy rodzice i dogadzają malcowi w najpospolitszem znaczeniu wyrazu, niczego mu nie odmawiając, a tem samem pielęgnują najwstrętniejsze sobkostwo. Tak psute dziecko okazuje niby przywiązanie rodzicom, jako dostarczycielom otaczających je przyjemności, ale dla reszty członków rodziny i domowników staje się udręczeniem. Wpajanie szacunku młodszego rodzeństwa dla starszego, co w późniejszem życiu tak niezmiernie jest ważnem, dzisiaj należy do rzadkich wyjątków, a nodto swobodne zachowanie się dzieci wobec rodziców, na które tak skarżą się we Francyi, zaczyna się i u nas rozpowszechniać, razem z tylu wadami, stamtąd pochodzącemi.

Ponieważ jednak mają to być dzieci „dobrze wychowane", dowiadują się więc przy rozmaitej sposobności, że wobec gości, o których opinię rodzicom chodzi, mają one być uprzejme, pięknie się kłaniać, starszym miejsca ustępować, gdy tego potrzeba, prosić i dziękować za wszystko. Ale ta pozorna grzeczność znika co chwilę, zdradzając właściwy stan rzeczy, który zawstydzeni rodzice starają się napróżno zasłonić żartami!

O ile łatwiejszem byłoby ich położenie w takich razach nie przed ludźmi tylko, ale wobec własnego sumienia przedewszystkiem, gdyby od lat najmłodszych starali się w serca dzieci swoich zaszczepiać dobrze zrozumiane pojęcie najwznioślejszych przykazań miłości Boga i bliźniego! Dziecię, które, w miarę rozwinięcia umysłu swego, poznaje Boga i kochać Go umie, lgnie do ludzi naturalnem tego następstwem, uprzejme jest i dobre dla wszystkich jednakowo.

Widzimy to na tysiącznych przykładach ludzi prawdziwie po chrześciańsku wychowanych, którzy niejednokrotnie po śmierci wysoko wyniesieni zostali.

Miłość bliźniego, jasno pojęta, zamienia prostaczków na ludzi pełnych serdecznej delikatności, wytwornej nawet, bo daje im ten instynkt serc poczciwych, który ich oświeca, czem ująć, a ostrzega, czem urazić mogą; jest to rzeczywiście dobre uczucie, podczas gdy „formy" grzeczności są tylko ich pozorem.

Niechaj zatem maleńka dziecina wyciąga rączęta i uśmiecha się przyjaźnie do najuboższych z otoczenia swego; niechaj się uczy dzielić otrzymywanemi łakociami z innymi, ubogich niech nie nazywa pogardliwie i szyderczo, drobnych przysług swoich niech nie odmawia nikomu.

Z taką podstawą prawdziwie dobrego wychowania nie będzie potem, w starszym wieku, sądziło ludzi podług ubioru, a zdobędzie prawdziwą miłość bliźniego. B. Ł.

Nasze zioła lecznicze.

Pokrzywa zwyczajna

(po łacinie Urtica divica — po niem. Brennnessel)

Od niepamiętnych czasów uprawą pokrzywy zajmowało się wiele ludów, do dzisiejszego nawet dnia w Ameryce i północnej Azyi pielęgnują ją z wielką troskliwością.

Przeszłość pokrzywy wymownem jest świadectwem pożyteczności jej włókien, łatwych do przędzenia i tkania. I pod względem lekarskim pokrzywa wielkie znajduje zastosowanie.

Od wieków odgrywa znakomitą rolę w poezyi ludu, którego bujna wyobraźnia przypisuje jej cudowność.

„Niegodziwy i złośliwy opiekun, tak mówi podanie ludowe, chcąc wzbronić swojej wychowanicy pójść za mąż, wymyślił warunek, że wtenczas zyska jego pozwolenie, gdy potrafi z pokrzywy zrobić strój weselnyj Nieszczęśliwa dziewczyna zanosiła się od płaczu, a w końcu strapiona wielce udała się do panieńskiego pokoiku, rzuciła się przed obrazem Matki Boskiej, błagając rzewnemi łzami o pomoc i opiekę w tak ciężkiej niedoli. Najświętsza Matka wysłuchała prośby poczciwej niebogi, bo oto, kiedy znużona usnęła, zda się jej, że otwarło się niebo, a z niego zstąpiło dwóch aniołów, którzy powiedli ją pod krzak pokrzywy rosnącej przy drodze. Tu nauczyli ją, że kiedy rankiem rosa błyszczy na liściach, trzeba wyrwać pokrzywę; później ją wymoczyć, zmiędlić, wybielić, utkać i sporządzić strój ślubny. Dziewczyna korzystała z proroczego snu i wzięła się do pracy. Strój był prześliczny! Zawiedziony opiekun umiera z rozpaczy, a szczęśliwa para łączy się związkiem małżeńskim."

Tym sposobem odkryto włóknistość pokrzywy, a życiu dwojga szczęśliwych towarzyszyło błogosławieństwo świata, który wynalazek obrócił na swoją korzyść.

Równie znana jest legenda o siedmiu krzakach, za radą których królewna, pozbawiona mowy, uprzędła siedm koszul z włókien pokrzywy, by w ten sposób uwolnić się od zadanego uroku i odzyskać mowę.

Uczony Nestoryusz w IX wieku opowiada o wspaniałych strojach z pokrzywy, które odznaczały się srebrzystym połyskiem i były nieporównanej miękkości i delikatności.

W dziełach lekarskich z XV stulecia czytamy całe ustępy o cudownych skutkach pokrzywy.

Nawet próżność tamtoczesna wyrobiła dla niej zaszczytne miejsce pomiędzy toaletowemi kosmetykami. Nasienie tej rośliny, przegotowane w dystylowanej wodzie, sprzedawano, jako środek upiększający płeć.

Do dziś dnia istnieje przesąd, że piorun lęka się pokrzywy, dlatego też w wielu miejscowościach nazywaną bywa: „piorunującą". Piorun, głosi podanie, nigdy nie uderza w krzak pokrzywy. Podczas silnej, gwałtownej burzy, stawiają na kominie bukiet z pokrzywy, dla oszczędzenia domu od piorunu; toż samo i w piwnicach, na beczkach z piwem układają krzewy tej rośliny, by trunek nie skwaśniał.

Indyanin mówi: „myśli o zemście rzucam w krzak pokrzywy", co znaczy, że się nigdy mścić nie będzie.

Jednem słowem w pokrzywie wszyscy upatrują niezrównane przymioty.

Trudno więc pojąć, dlaczego krzew ten, od tylu wieków otoczony uznaniem i legendą, nagle doznał wzgardy; dlaczego staramy się go niszczyć i tępić, jakby wstrętne zielsko.

Daremne zabiegi! Opiera się ona niszczącej ręce, toczy bój krwawy, broniąc zakątka ojczystej spuścizny; wypleniona, odrasta na nowo, zaorana, odradza się, niby feniks z własnych popiołów i dopiero po długich latach ustępuje przed wyższą siłą. Życie jej to wzór skromności i zaparcia się, nie dba o pomoc człowieka, szydzi z jego gniewów; byle płat ziemi, ugór, bagnisko, wszędzie pleni się własną siłą.

Przed stu laty nagle do Europy nadeszła sprowadzona przez Anglików ze wschodu bawełna „King cotton", mogąsa śmiało rywalizować z „divicą". Czy to wskutek nowości, czy istotnego pożytku, bawełna ta wyparła całkowicie pokrzywę. Mimo to, kiedy po wystawie w Filadelfii profesor Rouleux z Berlina wykazał użyteczność pokrzywy, wnet zajęto się gorliwie jej uprawą. Po niejakim czasie odnaleziono inny gatunek, a mianowicie pokrzywę białą jak śnieg i nieparzącą (Urtica nivea). Daje ona włókno nad wyczaj delikatne a w połysku podobne do jedwabiu. Ojczyzną jej Chiny. Jak roślina herbaty, tak i ona wymaga gruntu ciepłego, okrycia od burz i wiatrów i tylko z wielkim trudem aklimatyzuje się w południowej Europie. Włókna równają się najpiękniejszemu jedwabiowi, a połysk ma podobny do roztopionego szkła. Wyrabiają z niej cudownie piękne materye, znane pod nazwą „Chinagras", czyli trawiastego lnu.

„Urtica divica" ma dwie bliźnie siostry; jedną o łodydze zielonej, drugą o łodydze czerwonej. Pierwszeństwo należy się zielonej, bo posiada włókna dłuższe i delikatniejsze.

Uprawa bardzo łatwa; każdy grunt jest dobrym i odpowiednim; sadzi się ją raz w ciągu 10 lub 15 lat.

Łodyga pokrzywy prosta, dosięga do 1 m. wysokości. Łodygi zarówno jak i liście pokryte palącemi włoskami; końce tych szczecinek są kruche i obłamują się za dotknięciem łatwo, tak że ostry, gryzący sok rośliny występuje i znane powoduje palenie. Liście podłużne sercowate, grubo piłkowane. Kwiaty żółto-zielonawe w zwisłych kłoskach. Smak cierpki, śluzowato-słonawy.

Rośnie koło płotów, śród gruzów, na miejscach nieco zaniedbanych, lecz urodzajnych (około wsi, w starych ogrodach). Lubi położenie zacienione. Na ziemi pulchnej, żyznej, próchniczej, nieco wilgotnej, rozrasta się wspaniale, tworząc niekiedy istne lasy.

Kwitnie w lipcu i sierpniu. Zbiera się od maja. Składniki: ostra substancya wyciągowa, śluz, garbnik, sprężnik (kauczuk), potas, siarka, niedokwas żelaza, saletrzan wapnia, kwas mrówczany.

Użytek: Napar liści (także ziela suszonego) pije się od zaflegmienia piersi, żołądka, krwawic, płucia krwią, krwawej biegunki, żółtaczki, wodnej puchliny, zimnicy, i przeciw przewłocznym cierpieniom skórnym. Robi się napar z 30 do 60 gr. na litr wody.

Zewnętrznie używa się soku świeżego ziela do tamowania krwawień. Dużo zalecają chłostanie pokrzywami członków porażonych, zreumatyzmowanych.

Odwar pokrzywny napół z octem jest dobrym środkiem na łupież.

Młode wypustki dają wiosną podobną do szpinaku jarzynę. Młode pokrzywy są dobrą paszą dla bydła; posiekane liście miesza się do karmi dla ptactwa. — Z włókien wyrabiają płótniankę.

Mowa to świętość, dla której ołtarze
Miłość Ojczyzny z ran i krwi buduje,
Nią modły wznosi, nią myśli i czuje
Z duchem swym w parze.
Mowa, to macierz, co nas w swem objęciu
Do snu kołysze i do życia budzi,
Z nami łzy leje i z nami się trudzi
W słowa zaklęciu.

Z. Morawska.

—o—

Szczęście jest zmienne, dlatego nie ufaj mu zbytnio: co przypadek dał, może i odebrać.

—o—

Kto nie szczędzi małych rzeczy,
Ten się wielkich nie doczeka,
Nikt z nas bowiem nie zaprzeczy,
Że się z kropli składa rzeka.

—o—

Nie odkładaj pracy, rób ją w swoim czasie,
Albowiem najlepiej uskutecznić da się;
Gdy pracę odłożysz, braknąć może czasu,
Nabawisz się żalu, doznasz ambarasu.

Nakładem redakcyi „Prawdy", Kraków. — Czcionkami „Katolika", spółki wyd. z ogr. odp., Bytom.